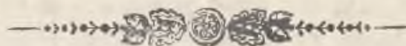
ROZMAITOŚCI.



Dnia 5 lipca, N^{er.} 27. roku 1845.

Wtorek i Piątek.

OPOWIADANIE przez JÓZ. KORZENIOWSKIEGO.

(Z Bibl. warsz.)

Przeszłéj jesieni, po ośmnastu latach ciągłéj niebytności, byłem w Warszawie, jak się o tém czytelnicy moi musieli dowiedzieć z Kurjerka, którego numer na różowym papiérze, zamykający chlubny dla mnie anons, otrzymałem z rąk grzecznego redaktora. Podziękowawszy zacnemu weteranowi naszéj literatury i sztuki dramatycznéj za tak miły podarunek, poszedłem do Saskiego ogrodu; był bowiem dzień piękny, i ja mając tego dnia po raz piérwszy w życiu widzieć swoję sztukę na scenie, byłem cokolwiek niespokojnym i potrzebowałem świeżego powietrza. Pod kolumnami pałacu, niegdyś Saskiego, spotkałem się z dawnym kolegą szkolnym, dobrym znajomym i przyjacielem, który równie jak ja wybrał się na przechadzkę. Poszliśmy więc razem, przypominając dawne czasy: spacery w Krzemieńcu po górze Zamkowéj i Czorczy; gawędy szkolne o Chońszczyźnie, Łuczyńskim i Jargowskim, na Tarpejskiéj skale; potém włóczęgi nasze po alejach warszawskich, po cichych, oddalonych uliczkach za Lesznem; wyprawy wodą na Bielany; rozmaite przygody młodości, a potém coraz poważniejsze przygody i nasze i nie nasze; nareszcie o żonach, o dzieciach. Tak rozmawiając, przeszliśmy kilka razy środkową aleję i doszedłszy do bramy, zwróciliśmy się na lewo. Chciałem obejść tę boczną i miłą uliczkę, po któréj tyle ranków schodziłem, na którą patrzyłem ciągle lat kilka ze swojego okna w pałacu Zamojskich, na któréj czytałem po raz piérwszy Grażynę, i postrzegłem jednę, miłego mi dotąd wspomnienia twarzyczkę. Właśnie byliśmy już naprzeciw mojego niegdyś okna, gdyśmy postrzegli idącego ku nam mężczyznę z głową schyloną, i zatopionego w myślach. Usłyszawszy widać nasz głos, podniósł głowę, spojrzał na mojego przyjaciela, odwrócił się i poszedł nazad. »Zejdźmy na bok,« rzekł do mnie mój kolega, »jestto odludek, dla którego spotkanie znajomego jest rzeczą bardzo przykrą.« Zeszliśmy więc na prawo; lecz uderzony wyrazem téj twarzy niegdyś pięknéj, dziś pokrytéj bladością i napiętnowanéj ciężkim smutkiem, zapytałem mego towarzysza: czy zna tego pana.

»Znam go dobrze,« odpowiedział; »byliśmy niegdyś w jedném biurze, i w kilku zdarzeniach oddałem mu niewielkie przysługi. Od lat siedmnastu, biedny ten człowiek porzucił urząd i żyje zupełnie samotnie. Coto dziś mamy?«

»Piątek;« odpowiedziałem.

»A, to jego dzień!« rzekł mój towarzysz. »Każdy wtorek i piątek od godziny jedenastéj do ciemnéj nocy przepędza na téj ulicy, i to cała jego rozrywka.«

»Dlaczegoż tylko w te dni?« zapytałem.

»Z tém się łączy smutna historyja, która stanowczo na jego życie wpłynęła.«

»Czy ci ona wiadoma?« zapytałem znowu.

»Znam ją dobrze,« odpowiedział, »i ze wszystkiémi szczegółami. Słyszałem ją nieraz z ust tego biédaka, i czytałem opisaną przez niego samego, gdy się tłómaczył przed sądem kryminalnym.«

»Aj!« krzyknąłem uradowany. »Siądźmy pod tym kasztanem, i opowiédz mi to.«

»Kiedy bo wam autorom, niebezpiecznie powierzać takie rzeczy. Co tylko pochwycicie, zaraz czémprędzéj rzucacie na papiér, a potém z mokrym jeszcze rękopismem biegniecie do drukarni. Co zaś najgorsza, stroicie proste opowiadanie waszémi dodatkami, i.....« zatrzymał się i uśmiéchnął się złośliwie.

»I psujemy!« rzekłem. »Czy to chciałeś powiedziéć?«

»Zgadłeś,« odpowiedział; »rzadko który z was umié opowiadać tak, żeby nie widać było waszych własnych łatek, którémi szpecicie jednostajną materyję, dostarczoną wam przez naturę. Wam się zdaje, że trzeba koniecznie rzeczy nadzwyczajnych, jakichsi wypadków niespodziéwanych; kiedy tymczasem życie, jestto rzecz niezmiernie prosta, a wszystko co nas w jego obrazie interesuje, zamyka się w głowie i w sercu ludzi, których malujecie.«

»Jest w tém cokolwiek prawdy, ale więcéj przesady;« — odpowiedziałem — »trzeba żeby i osnowa była choć trochę obudzająca ciekawość. Na takiéj kanwie lepiéj się wyszywają usposobienia moralne i uczucia osób działających. Nie lubię ja i sam owych mniemanych sekretów komedyjnych i niespodzianych, to téż i łają mię zato więcéj niż zasługuję; wszakże wybiéram zawsze takie przedmioty, któreby mi dały powód odkryć jakąś interesującą stronę serca lub umysłu. Historyja tego pana musi ją miéć także, kiedyś o niéj wspomniał. Inaczéj nie zrobiłbyś był żadnéj wzmianki.«

»To prawda;« rzekł mój towarzysz.

»Opowiédz więc ją, proszę cię.«

»Ale nie będziesz pisał?« rzekł patrząc mi w oczy.

»Zato nie ręczę;« — odpowiedziałem — »mogę ci wszakże dać słowo, że nic nie dodam, i tak napiszę, jak opowiesz.«

Przystał na ten warunek mój towarzysz. Usiedliśmy w miejscu ustronném, zkąd widać było ową ulicę i przechadzającego się po niéj człowieka, którego część życia miałem usłyszeć, i oto jest opowiadanie mojego towarzysza, wiernie i bez żadnych dodatków spisane.

»Ten pan nazywa się Michał Studnicki. Ma on wielki dom na Lesznie, który mu przynosi dochód znaczny i aż nadto wystarczający na jego utrzymanie. Wkrótce po przyjeździe naszym z Krzemieńca, poznałem się z nim, gdyż weszliśmy do jednego biura. Nie byliśmy z początku bardzo ścisłymi przyjaciołmi, zbliżyliśmy się jednak dosyć, może przez kontrast naszych charakterów. Ja zawsze zimny matematyk, jak wiész, widziałem na świecie same tylko liczby. Uśmiéchy ładnych ustek, wejrzenia ślicznych oczek, ukłony grzecznych panów, zimne skinienia głową naczelników, nawet uściski kolegów redukowałem zawsze na liczby większe lub mniejsze, które się dawały sumować lub odciągać. Pan Michał był zupełnie inny. Każdą myśl maczał wprzód, że tak powiém, w sercu, nim ją odział w słowa. Wszakże nie sądź, aby to był mazgaj płaksiwy i tchórzliwy. Owszem, gdy tego była potrzeba, działał z wytrwałością i odwagą właściwą takim głębokim i melancholicznym charakterom. Właśnie ta wytrwałość i ten upór w uczuciach i postanowieniach przyprowadził go do stanu w jakim go widzisz; bo gdy co raz weszło do jego głowy i serca, już tam zostało na zawsze. Gdy sobie postanowił co zrobić lub się czego nauczyć, póty się męczył, póki nie doszedł do nadzwyczajnéj biegłości. I tak np. gdy był jeszcze w szkołach, podobało mu się, że stryj jego, do którego jeździł na wakacyje, wystrzeliwał asy. P. Michał póty się męczył, póty psuł proch i kule, póki nie doszedł do takiéj pewności ręki i oka, że kilka kul w jeden punkt wbijał. Chodząc raz nad rzeką, postrzegł kilku żołnierzy niezmiernie zręcznie pływających po Wiśle. Zajęło go to. Poszedł więc do oficera szkoły pływania, naszego niegdyś kolegi, zaczął się uczyć, i przez jedno lato lepiéj pływał, niż oni wszyscy. To samo mu się zdarzyło z angielskim językiem. Pokazałem mu tylko jak się wymawiają niektóre litery; w rok potém lepiéj umiał po angielsku ode mnie. Roz-

ciągnąłem się cokolwiek nad témi okolicznościami, ponieważ one ci wytłómaczą wypadki jego życia. W którymto roku po raz piérwszy opuściłeś Warszawę?«

»W 1823,« odpowiedziałem.

»Już więc ciebie tu nie było; a widziałbyś był ze swojego okna początek téj historyi; bo właśnie na téj ulicy rzecz się zawiązała. W r. 1824 w sierpniu podobno, p. Michał, który zawsze lubił samotność, przechodził właśnie tędy i postrzegł na téj oto ławeczce pod kasztanem, gdzie i pan mój podobno także oczekiwał na różowy kapelusik, postrzegł mówię twarzyczkę śliczną, ale bladą i smutną. Była to brunetka mająca może lat dziewiętnaście. Oczy miała czarne nadzwyczajnéj piękności; zpod czarnego kapelusza wychodziły błyszczące czarne loki; szlafroczek także był czarny; słowem wszystko na niéj było czarne, oprócz twarzy, która była blada, i szyi, która była jak śnieg biała. Ta twarzyczka, ta kszsałtna i wysmukła figurka, ta drobna rączka ciemną odziana rękawiczką, i trzymająca zgrabny parasolik, ta wystawiona cokolwiek, delikatna i wązka nóżka, odziana z elegancyją warszawską, wszystko to zostało od razu w myśli i w sercu melancholicznego p. Michała.

Ja byłbym tę bladą twarz, i czarne ubranie, i wystawioną nóżkę zredukował na liczby, uśmiéchnął się, poszedł daléj i zapomniał; p. Michał przeszedłszy raz, wrócił, co czynił póty, póki panienka siedziała na ławeczce. A gdy wstała i poszła, on szedł za nią i przypatrywał się jéj figurze, jéj lekkiemu chodowi, jéj ruchom pełnym gracyi i powagi.«

»Czy była sama?« zapytałem.

»Oho, już widzę że będziesz pisał!« odpowiedział. »Nie, nie była sama. Był z nią poważny staruszek w granatowym surducie, z amarantowémi wyłogami, ale bez szlif. Widać stary dymisyjonowany oficer, cokolwiek przygarbiony, z siwym wąsem, ale także smutny. Szedł więc za nimi p. Michał; postrzegł że blada twarzyczka parę razy obróciła się, i wejrzenie jéj czarnych oczów oblało go, jak gorącą wodą. Byłby szedł tak daléj i odprowadził ich zdaleka aż do mieszkania; ale na nieszczęście spotkał go szef naszego biura, ukłonił się i zaczął rozmowę. Niegrzecznie było porzucić szefa biura, który miał ochotę pogadać; rozmawiał więc z nim p. Michał cokolwiek roztargniony, a tymczasem granatowy surdut i czarny szlafroczek zginęły w tłumie. Gdy był znowu sam, pobiegł, oglądał się, szukał, ale już ich znaleźć nie mógł. Na drugi dzień oczywiście p. Michał chodził samotny po téj ulicy wprzód i nazad, a gdy się zbliżał do swojéj ławeczki, wzdychał i przypominał sobie czarny szlafroczek i blade lice. Ale tą razą wzdychał i chodził napróżno; bo zmrok padł, zaczęło się robić ciemno, i nikt nie przyszedł. Smutniejszy niż zwykle wrócił do domu, i nazajutrz w biurze do nikogo słowa nie przemówił. Tak przeszło dni kilka; każdego wieczora p. Michał przechadzał się po ogrodzie, i każdego wieczora coraz smutniejszy powracał do domu. Nareszcie przyszła niedziela. Od samego rana puścił się p. Michał po kościołach, spodziéwając się, że gdziekolwiek spotka prześliczne widziadło, które mignęło przed jego duszą, stąpiło raz tylko w jego sercu i zostawiło na zawsze ślad delikatnéj swéj stopki. Był u Fary, u Dominikanów, u Pijarów, u Kapucynów, u Bernardynów, u Sgo. Krzyża; tu zmówił pacierz, tam zapomniał i przeżegnać się, a nigdzie nie znalazł obrazka, którego właściwie szukał i do którego chciał pomodlić się. Nareszcie wracając już zdesperowany do Misyjonarzów, postrzegł na Krakowskiém przedmieściu kościół Karmelitów. Piękny i ponury front téj świątyni uderzył go. Dawno już w niéj nie był, coś mu szepnęło, żeby wstąpić. Wszedł więc, ale tą razą już nie szukał ziemskiego obrazka, straciwszy zupełnie nadzieję znalezienia go kiedykolwiek. Wszedł z szczérą chęcią pomodlenia się; chciał ofiarować Bogu męki swego serca i oddać swój los jego opiece. Nie patrząc, co się wkoło niego dzieje, ukląkł przy bocznym ołtarzu i szczérze się modlił. Gdy skończył modlitwę i podniósł oczy, postrzegł, że przy drugim ołtarzu klęczała osoba w czar-

nym szlafroczku, w czarnym kapeluszu i jeszcze goręcéj się modliła. Nie widział jéj twarzy, ale kibić była ta sama, te same drobniutkie i białe rączki pobożnie złożone, ta sama maleńka nóżka wyglądała zpod szlafroczka. Śpiewano właśnie suplikacyje. Przenikająca nóta pieśni: »święty Boże, święty mocny, święty nieśmiertelny,« rozchodziła się po kościele. P. Michałowi łzy się w oczach zakręciły, a gdy postrzegł, że jego piękna rzewnie płakała, zawołał z westchnieniem: »Zmiłuj się nade mną i nad nią!« Powstał więc i stanął tak, aby jéj z oka nie spuścić i wyjść razem i śledzić dokąd pójdzie. Parę razy obejrzał się, czy niéma gdzie szefa biura; ale że szefowie rzadko chodzą do kościoła, zaspokoił się i czekał cierpliwie. Suplikacyje się skończyły, summa się zaczęła. Czarna postać klęczała, a p. Michał stał i czekał. Nareszcie pobłogosławił ksiądz lud pobożny i wszyscy rzucili się do drzwi. Powstała i ona. Byłato ta sama twarz, ale jeszcze bledsza; jeszcze piękniejsza niż w ogrodzie. Widać łzy przyniosły jéj ulgę i modlitwa pokrzepiła duszę. Przypadkiem spojrzała w tę stronę, gdzie stał nasz bohatér, i czarne jéj oczy poznały melancholiczną twarz p. Michała, i odgadły zapewne co się działo w jego sercu, bo rumieniec przesunął się po jéj licu i znikł tak prędko, jak para oddechu ze stali polerowanéj. Prędszym krokiem rzuciła się w tłum i obejrzała się parę razy, czy p. Michał idzie. P. Michał był tuż za nią; pchał się jak student do wielkiego ołtarza, kiedy biskup celebruje. Nie poznawał znajomych, byłby nawet udał, że nie poznał swego szefa biura, gdyby szefowie biura chodzili częściéj do kościoła. Wszakże mimo wszelką usilność odsunęła się od niego daléj, niżby żądał, i była już na placu przed kościołem, gdy p. Michał był dopiéro we drzwiach. Na otwartszém miejscu mógłby ją dopędzić, ale nie chciał; uważał bowiem, że się oglądała, i im bliżéj go postrzegła, tém prędzéj i zręczniéj nóżki jéj dotykały się kamieni. Już byli na Krakowskiem przedmieściu naprzeciw Bernardynów; nagle obejrzała się raz jeszcze i postrzegłszy, że p. Michał idzie z okiem wytężonem na swoję zdobycz, poskoczyła skokiem łani na kilka schodów i wbiegła do kamienicy Rezlera. Pamiętasz zapewne, że to kamienica przechodnia, i prowadzi na ulicę Senatorską a ztamtąd na Miodową. Wbiegł p. Michał na korytarz, ztamtąd na dziedziniec, ztamtąd na drugi, daléj pod bramę podjazdową; obejrzał się po trotoarze ulicy Senatorskiéj na prawo i na lewo, wszędzie pełno ludzi, ale dla niego były pustki, bo jéj nie było. Wrócił więc nazad, przeszedł raz jeszcze dziedziniec i korytarz, napróżno. Pytał stróża, nie widział. Kazał się zaprowadzić do rządcy domu, wypytywał go czy nie mieszka tu jaki stary oficer dymisyjonowany, mający córkę, która chodzi w czarnym szlafroczku, ma czarne oczy i twarz bladą. Ruszył ramionami tłusty i zatabaczony rządca, uśmiéchnął się widząc gorliwość p. Michała, ale odpowiedział, że takiego lokatora w całéj kamienicy nié ma. Poszedł więc p. Michał powoli do domu zmartwiony i zfatygowany, i zaczął seryjo myśléć o wypędzeniu z głowy niepotrzebnego gościa. Ale tą razą postanowienie jego nie było dość silne i nie dotrzymało placu; bo gdy się zbliżył wieczór, znowu czarny szlafroczek lśnił się przed jego myślą, i małe nóżki tuptały mu w sercu. Wziąwszy więc kapelusz, poszedł znowu do ogrodu. Zaraz na zawrocie od żelaznéj bramy, postrzegł czarny szlafroczek i granatowy surdut. Uszczęśliwiony, szedł ostrożnie i zwolna, aby ich nie spłoszyć, i unikał troskliwie wszystkich znajomych, bojąc się, aby mu który przy wychodzie do wyśledzenia ich pomieszkania nie przeszkodził. Usiedli znowu na ławeczce, a p. Michał przeszedł raz i drugi, i nieznacznie, ukradkiem spoglądał na tę twarz bladą, zawsze piękną, na te czarne oczy, które go nie unikały, ale owszem zdawały się za nim skierowywać. Gdy się już czwarty raz przybliżał do ławeczki, postrzegł, że do owego staruszka przystąpił jakiś wojskowy, także już nie młody, ale jeszcze w czynnéj służbie. Taką między nimi usłyszał rozmowę:

„Jak się masz, majorze?” rzekł oficer ze szlifami.

„Źle się mam, jak zwykle;” odpowiedział stary z westchnieniem.

„Niepotrzebnie się martwisz, majorze; pójdź, mam ci coś powiedzieć.” Major powstał, obrócił się do córki i rzekł: „Posiedź tu Maryniu, ja zaraz przyjdę. Wziąwszy się pod ręce, oba weterani poszli ulicą, a Marynia została sama jedna. P. Michałowi przyszła heroiczna myśl; przybliżył się i usiadł na drugim końcu ławeczki. Serce mu biło gwałtownie i oddech zatrzymywał się w piersiach. Marynia siedziała ze spuszczonémi oczyma, udając, że go nie widzi i rysowała na ziemi jakieś znaczki parasolikiem. Gdy p. Michał postrzegł, że major odszedł dosyć daleko, że bedzie mógł cokolwiek z nią pomówić a przynajmniéj usłyszy jéj głos, przeżegnał się w duchu, jakgdyby miał wskoczyć do Wisły i ją przepłynąć, i rzekł przysuwając się nieznacznie: „Niech mi pani daruje, że nieznajomy śmiém do niéj przemówić; ale boję się, żeby mi się ta zręczność nie wymknęła, któréj już od niejakiego czasu szukam. Będę się starał być zwięzłym, i powiém otwarcie co myślę. Czy pani raczysz mię posłuchać?”

„O cóż idzie? mów pan;” rzekła Marynia i podniosła na niego śliczne czarne oczy. Jéj głos dźwięczny, ząbki białe i czyste, które się przy tych słowach pokazały, a nadewszystko te oczy i to wejrzenie, tak zmieszały p. Michała, że przez chwilę nie mógł przyjść do słowa. Patrzył tylko na nią z wyrazem pełnym miłości, i byłby długo jeszcze patrzył, gdyby się była nie odezwała:

„Słucham pana.” Stłumił więc w sobie westchnienie, obejrzał się jak daleko major, i rzekł prędko:

„Nazywam się Michał Studnicki; jestem urzędnikiem Komisyi Spraw Wewnętrznych. Mam dom na Lesznie, który mi zapewnia niezależnośc. Nie wiém kto pani jesteś; widzę tylko żeś młoda, piękna, żeś córka oficera. Widziałem panią kilka dni temu w ogrodzie; szukałem cię potém codzień, dziś spotkałem panią w kościele. Modliłaś się gorąco i płakałaś. Jeżeliś pani nieszczęśliwa, jeżeliś wolna, pozwól mi dać się poznać bliżéj. Może mi Bóg dopomoże, że w sercu mojém znajdziesz dla siebie pociechę, jeśli jéj potrzebujesz. Ja będę aż nadto szczęśliwym, gdy mi nie odbierzesz choć dalekiéj nadziei.” Umilkł p. Michał i ona milczała. Potém dodał drżącym głosem: „Czym panią rozgniewał?”

„Słowa pana,” odpowiedziała cokolwiek zmieszana i okryta prześlicznym rumieńcem, „mają charakter prawdy i szczérości. Gniewać się za nie nie mogę, dziwię się tylko, że pan wystawiasz się na taki hazard, czyniąc tak stanowcze ofiary kobiécie nieznajoméj. A gdybym też je przyjęła?”

„Tobyś pani uczyniła najszczęśliwszym człowieka, który od kilku dni niéma snu i pokoju;” rzekł p. Michał z ożywioną twarzą.

„A gdyby się pokazało,” rzekła znowu; „żem tych ofiar niegodna?”

„O, to być nie może!” odpowiedział p. Michał. „Ręczy mi zato pani twarz, mundur jéj ojca, i ta gorąca modlitwa, którąś dziś posyłała do nieba.”

„Dziękuję panu za to o mnie mniemanie;” rzekła z wyrazem, który twarz jéj zrobił dziwnie piękną, i wyciągnęła do niego drobną rączkę, tak, że p. Michał mógł ścisnąć delikatne paluszki. Potém dodała spuszczając oczy: »Nie odrzucam znajomości zacnego człowieka, jakim mi się pan wydajesz. Ale przyjmieszże jeden warunek?”

„Każdy, choćby najcięższy;” rzekł p. Michał.

„Dziś,” rzekła z uśmiéchem; »musiałam przed panem uciekać. Nie rób mi pan nigdy téj przykrości. Nie staraj się poznać naszego mieszkania, ani mojego nazwiska. Czy zgoda?”

»Wykonam święcie ten rozkaz pani, chociaż nie taję, ile mię to będzie kosztować. Ale gdzież i kiedy będę mógł panią widzieć? — jeżeli pani nie odrzucasz mojéj znajomości, to znaczy, że pozwalasz abym cię kochał, abym ci to mówił. Nie jestem młodzik, nie jestem trzpiot niestały i zmienny. Zanadto seryjo patrzę na świat i brzydzę się wszelką płochością. Kłamliwe i zimne grzeczności, które się mówią kobiétom bez myśli, lub w celu występnym, nie skalały dotąd ust moich. Pani piérwsza opanowałaś moje serce, i uczucia moje muszą być głębokie i silne, kiedy przy piérwszéj zręczności odważyłem się je wyrazić. Daj się pani ubłagać.”

Przez cały ten czas patrzyła mu w oczy z uwagą i zajęciem. Po chwili dodała: »O, jaką mi pan boleść sprawiasz.”

„Mojém szczérém wyznaniem?” rzekł p. Michał.

„O, nie,” odpowiedziała prędko; „swoją prośbą.” Umilkła, lecz postrzegłszy, że twarz p. Michała pobladła na te jéj słowa, dodała ciszéj: „We wtorek i w piątek o godzinie jedenastéj będę tu zawsze. A teraz idź pan; jak pan mię lepiéj poznasz, może nie będziesz miał ochoty zabiérać znajomości z moim ojcem, który się przybliża.”

»Wracasz mi pani życie i pokój.” Powstał, spojrzał raz jeszcze na tę twarz, któréj się nie mógł napatrzyć, i poszedł.

Gdy powracał do domu, był szczęśliwy i smutny razem. Jakieś wątpliwości zaczęły powstawać w jego sercu, jak lekkie mgły zaciemniające horyzont; lecz wkrótce śliczna twarz jéj wynurzała się jak słońce, i rozpędzała je zupełnie. Myślał dużo i o tém spotkaniu i o swojéj z nią rozmowie, a rezultat tych myśli był zawsze korzystnym dla Maryni; kontent był, że na jego otwartość i szczérość odpowiedziała otwartością i szczérością; że nie udawała niewiniątka, i dowiodła rozumu, poznawszy z jego twarzy i słów, że mówił seryjo i był przeniknionym. Zakłopotała go cokolwiek obietnica przyjścia

do ogrodu; lecz gdy przypomniał sobie jak się przeraził jéj odmówieniem, jak zapewne musiał pobledną́ć i zmieszać się, widział w tém jéj przyrzeczeniu dowód jéj dobrego serca i litości nad swoim stanem. Jeden tylko był szkopuł, o który okręt niosący piękne nadzieje p. Michała, zadzierał się cokolwiek mocniéj, t. j. dla czego nie chciała mu pozwolić poznać się z ojcem i uczęszczać do ich domu. Wszakże po długiém biedzeniu się i to zagadnienie rozwiązał. Muszą być bardzo biédni, pomyślał, i wstydzą się swego ubóstwa. Uradowany tym wynalazkiem, jak Archimedes, uspokoił się p. Michał, i z biciem serca wyglądał wtorku.

We wtorek o pół do piérwszéj wracał z ogrodu, szedł krokiem śmiałym i pewnym, kapelusz niósł w ręku nie uważając że słońce piekło jak ogniem. Piątek jeszcze mu więcéj dał wesołości i dobrego humoru. Takim sposobem od wtorku do piątku, od piątku do wtorku, szczęście p. Michała podniosło się do wysokich potęg. A przecież nic szczególnego nie zaszło. Chodzili z sobą po téj ulicy lub siedzieli na téj ławeczce, ale zawsze zdaleka, z uszanowaniem. P. Michał nie śmiał się przysunąć, wziąć jéj ręki i przycisnąć ją do piersi; ale p. Michał kochał ją nad wszystko, ale widział w niéj oznaki życzliwości, ale lubił jéj skromność, jéj wychowanie, jéj rozum. Dość mu więc było widzieć ją i słyszéć i miéć daleką nadzieję, którą ona zręcznie coraz daléj odsuwać umiała. Gdy raz we wtorek p. Michał zaczął niby narzekać, gdy chciał przynajmniéj dowiedzieć się jak się jéj ojciec nazywa, Marynia rzekła: „To ja już w piątek nie przyjdę;” i słowom tym towarzyszył wyraz twarzy tak miły, wejrzenie tak słodkie, że p. Michałowi żal się zrobiło piątku; umilkł, nie nalégał i czekał daléj. Tak przeszło kilka tygodni. Nadszedł październik. A chociaż wtorki i piątki były jeszcze piękne, ale miałże złożyć swój los, swoje szczęście, w ręce pogody jesiennéj? Ta myśl przyprowadzała go czasem do rozpaczy.

Jednego piątku, gdy się zeszli o saméj jedénastéj, Marynia uśmiéchnąwszy się mile, rzekła: „Jak pan akuratny! Jeszczem ni razu nie czekała na pana ani chwili.”

„Czyż to panią dziwi?” odpowiedział. „Jeszczeż mi pani nie wierzysz że ją kocham nad wszystko w świecie? Każdy ranek we wtorek i w piątek, kosztuje mię wiele zdrowia. Wstaję ze świtem, chodzę, niecierpliwię się, wyglądam téj jedénastéj i doczekać się jéj nie mogę.”

„A gdy nadejdzie?” rzekła spojrzawszy nań z wdzięcznością.

„O, gdy nadejdzie, gdy panią obaczę, gdy się uśmiéchniesz, słowo wymówisz, spojrzysz tylko, zapominam o wszystkiém, com wycierpiał. Jestem szczęśliwym, ale....”

„Ale...” powtórzyła Marynia.

„Ale możeż to trwać długo?” dodał p. Michał. „Jesień się przybliża, zima nadejdzie. Będzieszże pani mogła przychodzić, jak dotąd? Ja sam wyrzeknę się tego szczęścia, jeżeli mam je otrzymywać kosztem jéj zdrowia. Jeżeli ręka pani wolna, jeżeli pani masz dla mnie choć cokolwiek życzliwości, zechceszże mię wystawić na taką męczarnię? Jakie mogą być przyczyny, które panią wstrzymują, pojąć nie mogę. Dla czegoż nie znam dotąd nazwiska jéj ojca, ani nazwiska pani, ani jéj domowych okoliczności? Mogłaś pani miéć wstręt objawić to obcemu, ale godziż się kryć się przede mną, którego majątek, ręka, imię i życie nawet poświęcone i oddane pani od téj chwili, gdym ją raz piérwszy obaczył. Ponieważ pani tego żądasz, szanuję i szanować będę jéj sekret, wszakże pewny jestem, że on nie jest takim, za którybyś miała potrzebę się rumienić. Zato mi ręczy święty wyraz, który czytam w twarzy pani. Jeżeli cała rzecz w tém, żeś pani biédna i wstydzisz się swego ubóstwa, jakże bolesną krzywdę wyrządzasz memu sercu. To powiedziawszy, westchnął p. Michał i umilkł. Marynia milczała także. Widać było w jéj twarzy walkę jéj duszy. Czasem spojrzała na niego okiem pełném życzliwości, to znowu schyliła je ku ziemi. Nareszcie zatrzymała się, wzięła jego rękę, ścisnęła w swojéj i rzekła: „We wtorek już nie przyjdę.”

Stanął p. Michał jak osłupiały; a gdy podniósł głowę, już była daleko. Dziwne uczucia powstały w jego sercu; sam nie wiedział, czemu przypisać jéj upór. Już mu nawet przychodziło do głowy, czy nie ma ona męża? Czy się nie kryje przed nim? Czy nie jest to intryga naganna, mogąca go doprowadzić do występku, którym się brzydził. Ale gdy sobie znowu przypomniał anielski i czysty wyraz téj twarzy, wszystkie rozmowy pełne skromności, w których nie było najmniejszego śladu kokieteryi; gdy mu przyszła na myśl ta niedziela i ta modlitwa, wśród któréj ją odszukał, wszystkie podejrzenia znikały, miłość silniejsza niż piérwiéj opanowała jego serce, i postanowił.... Cóż postanowił? Gdybyś opisywał tę historyją, cóżby u ciebie teraz p. Michał postanowił?”

„Naturalnie, pobiegłby za nią, odszukałby, wyśledził jéj mieszkanie, dowiedziałby się od sąsiadów albo raczéj od sąsiadek, bo lepiéj wszystko wiedzą, kto ona? i jeśliby było warto, poszedłby prosto i upadłszy do nóg...”

„Byłobyto po francuzku;” przerwał mój kolega. „Nie darmo ci zarzucają, żeś się rzucił do francuzkich pisarzów, i przenosisz z nich wszystko żywcem do swoich dramatów, nawet piérwéj, nim który z nich co napisze, jak ci się to zdarzyło z Piękną kobietą i Katarzyną Howard. Otóż nie zgadłeś, mój łaskawco: najprzód dlatego, że pan

Michał nie Francuz, a potém że dał słowo iż jéj śledzić nie będzie, i nie śledził. Gdy znikła z jego oczu, poszedł zwolna do domu smutny, zdesperowany, i postanowił czekać wtorku. Ale minął wtorek, minął piątek, a Marynia do ogrodu nie przyszła. W niedzielę modlił się gorąco u Karmelitów, przy tym samym ołtarzu; ale na stopniach drugiego ołtarza, gdzie niegdyś rysowała się piękna postać, zkąd podnosiło się tyle rzewnych myśli do nieba, nie było nikogo. Niepocieszony wyszedł z kościoła p. Michał. Resztę dnia i cały następny poniedziałek chodził z jednéj ulicy na drugą, z jednego ogrodu do drugiego, z jednéj alei w drugą, zawsze w téj nadziei, że ją gdzie spotka. Kilka mil zrobił przez te dwa dni, wszakże nie naprożno.«

(Dokończenie nastąpi.)

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 26ty i zawiéra: 1) Kilka uwag nad sieczką. 2) Kiedy właściwie owce kocić się powinny? 3) Doświadczony środek przeciw grudzie u bydła i koni. (Nadesłane.) 4) Najkorzystniejszy sposób postępywania ze skórami padłych owiec. (Nadesłane.) 5) O rabunku pszczół. 6) Odpowiedź panu W. L. R. na jego wzmiankę o rzeźni galicyjskiéj w Wiedniu. (Nadesłane z Wiednia przez J. Żywickiego.) 7) Wiadomości handlowe.

Dziennika mód paryskich pod redakcyją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł nr. 14ty i zawiéra prócz mód, następujące artykuły: 1) Ona się nudziła. Obrazek z życia paryskiego. 2) Ostatnie chwile Karoliny Magnuszewskiéj, wiersz przez Taliję Dzieduszycką. 3) List z Rzymu, Kornela Szlegla, malarza, pisany 1go czerwca 1845. 4) Do imiennika Maryi K*, wiersz przez Mar... 5) Gra Samuela Kossowskiego. 6) Uwiadomienie.

Z Warszawy donoszą: Księgarze tutejsi przedsiębiorą obecnie wiele nakładów. I tak Sennewald już rozpoczął druk dzieła K. Wojcickiego w 3 tomach »Historyja Literatury polskiéj w zarysach.« — Merzbach w dalszym ciągu Bibliotecki historycznéj drukuje: »Historyją Anglii« — Emm. Glücksberg ogłasza »Panowanie Jana Sobieskiego« — Leon Glücksberg kończąc wydanie Kroniki Stryjkowskiego, doda wiadomość o życiu tego kronikarza, napisaną przez Malinowskiego. — Orgelbrand drukuje: »Pamiętniki do panowania Zygmunta III, Władysława IV, i Jana Kazimierza z dawnego rękopismu«; wkrótce zaś zacznie drukować »Panowanie Jana Kazimierza« przez Michała Krajewskiego. — U Strąbskiego wychodzi dzieło nader ważnéj treści pod względem historycznym, mające obejmować zbiór dyplomatów od najdawniejszych czasów aż do r. 1505. — Tamże rozpoczętym został druk dzieła pod nazwą »Historyja Rzymska«, przez J. Szwajnica, profesora kursów prawnych i pedagogicznych. — J. B. Dziekoński ogłosił powieść »Sędziwoj« w 3 tomach. — Autor »Ramot i Ramotek literackich« zajmuje się wykończeniem tomu 3go i 4go tegoż dziełka. — Pod tytułem »Chłopiec z pod Skalmierza« wydał M. Skotnicki powieść, mającą być wstępem do liczniejszego rzędu powiastek dla ludu. — Najżywiéj jednak pojawiają się tłumaczenia. Oprócz niezliczonego mnóstwa przekładów modnych zagranicznych powieści i t. p. zaczęła tu, niezwłocznie po okazaniu się oryginału francuzkiego, wychodzić Thiersa »Historyja Konsulatu i Cesarstwa.« — Również ogłoszony jest przekład nowego dzieła sławnego Alexandra Humboldta, pod nazwą »Kosmos.« Wyszły dotąd tom 1szy oryginału, przedstawia, jak wszyscy głoszą, świetny obraz świata fizycznego, mistrzowską skreślony ręką. — Profesor Zdzitowiecki przełożył powszechnie wychwalane »Liebiga Listy o Chemii, ze względu jéj zastosowań w przemyśle, fizyjologii i rolnictwie.« Druk już jest rozpoczęty. — Profesor Waga wykończył dawno przekład »Wireja Historyi obyczajów i zmyślności zwierząt«, do któréj dodał znaną swoję rozprawę »O tajnych celach które miała natura nadając barwę zwierzętom.« Całe dzieło wyszło już w 12 dużych zeszytach.

O czapli, »piaskowiec« zwanéj. Kiedy ptak jaki, obywatel dalekich południowych krajów, jako cudzoziemiec z różnych nam dotąd jeszcze niewiadomych przyczyn, aż tutaj zaleci, i takowego żywcem ułowić lub ubić się uda, taki wypadek jest zawsze dla każdego (chociaż nie ornithologa) ciekawém zdarzeniem, osobliwie, jeżeli zagraniczny przybysz różnobarwném swojém opierzeniem, bogato ubrane ptaki, które nam z zamorskich krajów przywożą, przypomina. Lecz z niczém się nieda porównać szczęście, które wtenczas badacz przyrody czuje, jeżeli mu się powiedzie takiego rzadkiego gościa nie tylko widzieć, opisać, ale nawet żywcem posiadać, a témsamém zbiór swój powiększyć i Faunę ojczystą uzupełnić. Takie ukontentowanie miałem dnia 15go czerwca r. b. W obwodzie samborskim w Kropiewniku okazało się na jednéj łące niedaleko rzéki Stryja kilka sztuk przepysznych, do licznéj familii czapli należących piaskowców ozdobnych, *der Rallenreiher**) *die schöne kastanienbraune Warietät, Ardea comata v. Ardea squajota: Linnée. Ardea ralloides: Scopoli. Buphus ralloides Var. isabellina: Boje et Brehm. Ardea erythropus et pumilla Marsigli*; z tychże powiodło się jednego ubić a drugiego tak w skrzydło postrzelić iż rana wygojoną być może; szanowny i o postępki nauk przyrody gorliwy dziedzic tych dóbr, wielmożny Antoni Nahujowski, był tak łaskaw, tego zbarczonego ptaka mnie przysłać, za któryto szlachetny dar w imieniu ornithologii krajowéj najszczérsze podziękowanie składam. Ponieważ wszystkie do tego gatunku należące ptaki są u nas rzadkie, a ten żywy u mnie się znajdujący egzemplarz do pięknéj izabelowéj odmiany należy, która się jeno nad czarném morzem, w siedmiogrodzkiéj ziemi i w Hiszpanii znajduje; a zatem ośmielam się krótkie opisanie takowego przyłączyć, zostając w miłéj nadziei, iż od moich łaskawych czytelników nie naturalistów przebaczenie, a od naturalistów podziękowanie otrzymam. *Opisanie*: Długość od początku dzioba do końca ogona wynosi 17″, szerokość lotu 26″, dziób jest szpiczasty, szydłowaty, dłuższy od głowy, z tyłu pięknego niebieskiego koloru a z przodu czarniawy, skórka goła naokoło oczów majowo zielona, obwódka oka złoto-żółta, nogi karmazynowe, głowa jest ozdobiona pięknym czubem z długich białych czarno-obwiedzionych piórek, które tak są długie, że aż na krzyże spływają, na krzyżach koło kuperka, znowu się znajdują takie długie, miękkie piórka, które cały ogon przykrywają, i te są maści izabelowéj, ogón zaś i lotki białe. — *Ojczyzna*: Znajduję się pojedyńczo w Illiryi, w Hiszpanii, w siedmiogrodzkiéj ziemi, a osobliwie nad brzegami czarnego morza. — *Pożywienie*: Małe rybki, rybia ikra, wodne owady i robaki. — *Rozmnożenie*: Niektórzy ornitologowie utrzymują, iż się gnieździ na

*) Czapla-derkacz.

drzewach; zdaje się jednak podług wszelkiego prawdopodobieństwa, iż w trzcinach się wywodzi; jaja do tego czasu nieznane. — *Własności:* Jestto piękny łagodny ptak, który po trzcinach bardzo zwinnie łazi, chód ma prędki ale niepewny, podobny do biegu chruściela, szyję często tak jak ten ostatni wypręża; jak się do niego zbliżyć, to czub na głowie podnosi, co mu nadaje wiele powabu, zresztą tak jak wszystkie czaple, cały dzień prawie spokojnie na jednem miejscu siedzi a wieczorem dopiéro żywszym się staje. — Podhorodce w obwodzie stryjskim 17go czerwca 1845. —

S. K. Pietruski, c. akad. B. P. członek.

Manna z szarańczy. Podług wiadomości z Algeryi, miały tam chmury szarańczy zlecieć i wielkie porobić szkody. W dzienniku »*Echo de l'Atlas*« czytamy o tych owadach: Arabowie twierdzą iż już więcéj niż trzydzieści lat upłynęło, jak szarańczy w północnéj Afryce nie widziano, a ile razy tam się pojawiła, panowały natenczas w kraju wielki głód i nieznośne upały; przytem czynią uwagę, iż szarańcza zawsze dopiero w miesiącu lipcu przylatuje, i dlatego dziwną jest rzeczą, że tego roku w miesiącu maju widzieć się daje. Te owady są jasnożółtéj maści; nadciągają z puszczy Saharah, która jest ich zwykłém miejscem pobytu; lękają się bardzo zimna, a przeto nie lubią w chłodnych okolicach wypoczywać. Ztąd okolice w Blidah nie będą na ich spustoszenie wystawione; zresztą lecą one tylko przy 28 stopniach gorąca. Leżące na północ od Sahary siedziby Mozabitów, bywają zwykle co 2 — 3 lata całe zasypywane szarańczą. Ale ponieważ tam już w miesiącu maju wszelkie żniwa są ukończone, przeto nadlatując w późniejszéj porze roku, nie mogą żadnéj szkody zrządzić. Są one owszem wielkiem dobrodziejstwem dla Mozabitów, którzy nie tylko iż szarańczy plagą nie nazywają, lecz przeciwnie sądzą ją być manną niebieską, która ich żywi, i którą oni namiętnie lubią. Podczas chłodnych nocy i poranków, kiedy te owady z łatwością łowić można, zbierają Mozabici szarańczę, zsypują ją w worki, aby im nie uciekła, i gotują ją w wodzie z solą. Gdy tak zasypana woda nabierze czerwonego koloru w gotowaniu, wyjmują Mozabici szarańczę i jedzą ją ze smakiem. Europejczykowie, którzy mieli udział w tej uczcie, utrzymują iż szarańcza ma smak podobny do małych raków morskich.

Pani hrabina Dash księżną Sturdza. Francuzkie i niemieckie pisma donoszą o romantycznem zdarzeniu, które do rzadkich zjawisk naszego przemysłowego czasu należy. Przed kilką laty wysłał hospodar Mułtan, książę Sturdza, jednego ze swoich synów dla ukończenia wychowania do Paryża. Młody książę poznał tam sławną autorkę panią Dash, i zakochawszy się w niéj śmiertelnie, uwiózł ją z sobą do swéj ojczyzny. Najnieprzyjemniejszą rzeczą dla niego było, iż nie mógł poprzednio wziąć z nią ślubu, czemu głównie dwie okoliczności przeszkadzały: pierwsza, iż pani hrabina Dash miała już męża, chociaż od kilku lat z nim nie żyła: powtóre, iż młody książę nie miał pozwolenia od ojca. Na szczęście są w Mułtanach ustawy, które unieważnienie pierwszego małżeństwa przypuszczają. Na mocy tych ustaw wyrobił książę rozwód hrabiny Dash z piérwszym mężem, i ożenił się z rozwódką. W tym razie poszedł młody nowożeniec za przykładem swojego ojca, hospodara, który także z pierwszą żoną rozwieść się kazał. Ztemwszystkiém nie zdaje się stary hospodar być wielce zadowolonym z tego kroku swojego syna, jakto można wyczytać z listu, który nowopoślubiona księżna do jednego ze swoich dawnych przyjaciół pisała, a z którego paryzkie dzienniki następującego ułamku udzielają: »Z Perimi, w poniedziałek, dnia 12go maja. — Ten liścik ma być tylko znakiem iż jeszcze żyję; przyjm go więc miły hrabio łaskawie od swojej dawnéj przyjaciółki, która sądzi, że ci tém małą przyjemność sprawi. Nasz romans skończył się, jak było można przewidzieć, bardzo pomyślnie; jestem w samej rzeczy szczęśliwą; mam świetną przyszłość przed sobą, a przytem męża, którego jedyną wadą — iż jest zbyt ładnym i młodym. Wszystko to zdaje mi się być snem. Zamieniłam moje dotychczasowe samotne, cierpiące życie za rzeczywiste szczęście; moi przyjaciele przekonają się o tém, i sami pierwsi winszować mi tego będą. Książę hospodar dał był wprawdzie pozwolenie synowi do ożenienia się ze mną, lecz pod warunkiem aby jeszcze dwa lata czekał, a ponieważ on tego zrobić nie chciał, przeto rozgniewał się ojciec, i dotąd jeszcze mu nie przebaczył. Z tego powodu jesteśmy oddaleni od dworu i żyjemy na wsi, jak w raju. Matka mojego męża jest mi wielce przychylną i już mię dwa razy w dziesięciu dniach naszego na wsi pobytu odwidziła. Równąż sympatyję znalazłam także w towarzystwie i u szlachty mułtańskiej. To wszystko pozwala mi się cieszyć nadzieją, iż wreszcie i książę hospodar przebaczenia nam nie odmówi. — — Księżna G. Sturdza.«

Uwagi nad wścieklizną. Uczone towarzystwo »*Societé royale*« w Paryżu ogłosiło niedawno sprawozdanie, z którego się okazuje, iż ta choroba, przeciwnie powszechnemu mniemaniu, nie pojawia się bynajmniéj częściéj w lecie niż w innych porach roku, lecz owszem, iż najwięcéj wypadków wścieklizny wydarza się w miesiącach lutym, maju, wrześniu i październiku. Gdyby zbytnie upały powodem wścieklizny były, tedy w gorącyeh krajach wściekałoby się daleko więcéj psów niż gdzieindziéj. A przecież dzieje się właśnie przeciwnie, gdyż w Egipcie, w Syryi, w kraju Kaffrów, nie zna nikt téj choroby. Podobnież nie bywa ona skutkiem zbytniego zimna, gdyż nie było jeszcze przypadku, aby się w Grenlandyi psy wściekały; jako też i w Europie nie zdarza się ta choroba przy wielkich mrozach częściéj niż w innych miesiącach roku. Również ani głód ani pragnienie nie mogą być przyczyną wścieklizny, która należy do niesłychanych w Konstantynopolu i innych wschodnich miastach wypadków, chociaż tam wszędzie psy gromadnie się błąkają, a w lecie, kiedy cysterny wyschną, po większej części z pragnienia giną — nigdy się przecie nie wściekając.

Czytanie i jedzenie. Razu jednego chwalił się pewien młodzieniec przed sławnym filozofem Arystyppem, iż wiele czytał. — »Nie ci są najtłustsi i najzdrowsi,« — odpowiedział filozof — »co dużo jedzą, lecz ci co dobrze trawią.«

Zaspokojenie. Pewien małżonek przychodził często do ojca swojéj żony, skarżąc się na nią za rzeczy małéj wagi. — »Powiédz jéj wpan,« odpowiedział znudzony ojciec — »że jeżli się nie poprawi, to ją — jak Bóg na niebie! wydziedziczę.« — Struchlały małżonek usłyszawszy tę groźbę, zaprzestał odtąd chodzić na skargi.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.